


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



KAROL MAY

WYŚCIG Z CZASEM

**Tytuł oryginału: Das Waldröschen oder die Verfolgung rund
um die Erde XI**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

AUDIENCJA

Gdy przybył do stolicy wynajął dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu magdeburskiego, gdyż bał się ponownego zbiegowiska, dotarłszy do hotelu zawołał portiera:

– Czy to jest hotel magdeburski?

– Tak.

– Dostanę tutaj pokój?

Portier, który przyglądał się przybyszowi ze zdziwieniem rzekł:

– Pan jest obcokrajowcem?

– Tak.

– A ma pan paszport?

– Mam.

– To proszę.

Poprowadził go przez podwórze na tył hotelu i tam otworzył jakieś drzwi.

– Proszę do środka.

Sępi Dziób wszedł do środka i oglądnął wewnątrz. Był to ciemny, zadymiony pokój pełen rupieci i starej odzieży. Kilku mężczyzn siedziało przy brudnym stole, na którym stały pełne kieliszki.

– Do stu piorunów! Co to za dziura? – spytał.

– Pokój dla służby.

– Zamawiałem pokój dla służby czy osobny?

– Zamawiał pan tylko pokój, a myślę, że ten jest stosowny, chyba może życzy pan sobie coś lepszego?

– Naturalnie.

– A w jakiej cenie?

– To nie ma znaczenia, byle tylko był wygodny.

Portier zrobił drwiącą minę lecz z głębokim ukłonem rzekł:

– Proszę pójść za mną.

Poprowadził go głównymi schodami. Zaraz na pierwszym piętrze były otwarte drzwi do wygodnie urządzonego pokoju, można było zobaczyć wielki, elegancko urządzonej salonik, a po prawej stronie sypialnię.

– Czy to panu wystarczy? – spytał portier drwiącym głosem, sądząc, że gość cofnie się przerażony.

Jednak pomylił się, gdyż przybysz spojrzawszy obojętnie i powiedział:

– No, pałac to to nie jest, ale..., może wystarczy.

To zezłościło portiera, więc rozdrażniony powiedział:

– W tym pokoju mieszkał sam hrabia Waldsetten i to przez dwa dni.

– Dziwne, ja zatrzymam to mieszkanie tymczasowo. Portier przeraził się nie na żarty, a jeżeli ten dziwoląg naprawdę się tutaj rozlokuje, a potem nie będzie miał czym zapłacić za pobyt.

– Ten apartament kosztuje pięć talarów za dobę – zawołał szybko.

– To jest mi obojętne.

– Bez jedzenia.

– Wszystko jedno.

– I bez oświetlenia.

– Dobrze.

W tej chwili zjawiała się pokojówka. Była to znajoma Roberta.

– Proszę o dokumenty – powiedział portier.

– Do pioruna, czy to takie pilne? – spytał Sępi Dziób.

– Takie są przepisy.

– To nie hotel, tylko jakaś knajpa, skoro nawet książki meldunkowej nie macie dla gości.

– Mamy, może ją pan zaraz dostać.

– No to proszę ją przynieść, ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy przypadkiem nie zna pan kapitana huzarów, Roberta Helmera?

– Nie.

– Czyli, że jeszcze nie przyjechał.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

W tej chwili do rozmowy wmieszała się pokojówka i rzekła:

– Ja bardzo dobrze znam pana kapitana.

– Tak?

– Ja pochodzę z tych samych co on okolic.

– Mieliliśmy się dzisiaj tutaj spotkać – rzekł Sępi Dziób.

– To zapewne niedługo przybędzie. Czy mam dla niego zarezerwować pokój?

– O tym nie wspominał, ale... – przerwał a zwracając się do portiera powiedział: – Czego pan tu jeszcze stoi? Czy przypadkiem nie miał pan przynieść książki meldunkowej?

– Natychmiast, proszę pana – odparł kelner już innym tonem. – Czy pan jeszcze coś rozkaże?

– Coś do jedzenia.

– Śniadanie? Zaraz przyniosę spis potraw.

– To zbyteczne, proszę mi przynieść dobre śniadanie. Z czego się będzie składało jest mi obojętne.

Kelner oddalił się. Sępi Dziób porozkładał swe bagaże, a zwracając się do pokojówki spytał:

– Pochodzi więc pani z Moguncji?

– Tak.

– To pani też jest tutaj obca?

– Nie, już kilka lat jestem w Berlinie.

– Widziała już pani kiedyś Bismarcka?

– Widziałam.

– Proszę mi go opisać.

Spojrzała na niego ze dziwieniem.

– Czy pan się może do niego wybiera? – spytała.

– Tak moja panno.

– O to raczej będzie trudne, trzeba się najpierw zameldować w ministerstwie.

– Głupstwo, tyle zachodów nie będę robił.

Opisała mu drogę do ministerstwa, tymczasem zjawiał się portier z księgą i śniadaniem. Sępi Dziób wpisał się do książki i zabrał do śniadania. Służba się oddaliła. Kiedy po chwili portier zjawiał się ponownie, zastał go wypakowującego swój worek i z przerażeniem spojrzał na zawartość. Nie namyślając się wiele pobiegł do gospodarza donosząc mu o dziwnym gościu. Kiedy go opisał, właściciel zawołał:

– I takiemu człowiekowi dałeś nasz najlepszy apartament?

– Ja chciałem sobie z niego zadrwić – odparł portier usprawiedliwiająco.

– Jaki ma bagaż?

– Strzelbę.

– Do diabła! Co jeszcze?

- Dwa rewolwery, wielki, długi nóż.
- Straszne.
- Starą trąbę.
- Co? Starą trąbę? W to nie uwierzę. Dokładnie widziałeś?
- Hm, przypuszczam, że to trąba.
- Z mosiądzu?
- To trudno powiedzieć.
- A jakiej jest barwy?
- Podobnej do mosiądzu, tylko ciemniejszej.
- O Boże, to na pewno jakiś diabelski instrument, jakieś działo, albo taran. Mówisz, że wygląda podejrzanie?
- O i to bardzo!
- Kto wie jakie on ma zamiary!
- Pokojówka, która dotychczas przysłuchiwała się spokojnie, zawołała nagle:
- O Boże, on pytał się o Bismarcka!
- Gospodarz zbladł.
- Czego chciał od niego? – zapytał szybko.
- Nie wiem, dokładnie opisałam mu drogę do pałacu.
- On chce tam iść?
- Tak, chce mówić z ministrem.
- Do stu diabłów! On na pewno szykuje jakiś zamach!
- Powiedziałam, że nie tak łatwo się tam dostać, odpowiedział, że nie będzie robił żadnych zachodów.
- O Boże! naprawdę chce go zastrzelić! – zawołał kelner.
- Co tu teraz robić? – spytał gospodarz.
- Jak najprędzej o wszystkim poinformować policję – dodał portier.
- Oczywiście, sam tam pobiegnę! – i gospodarz bez tchu pobiegł na komisariat.
- Zamach! Skrytobójczy zamach! – zawołał.
- Gdzie? – spytał policjant.
- Hotelarz zaczął opowiadać o szczegółach mieszając się, plotąc piątę przez dziesiątę.
- Jak się ten człowiek nazywa? – pytał dalej policjant.
- William Saudores.
- To jakiś Anglik lub Amerykanin. Kiedy przyjechał.
- Przed pół godziną.
- Jak jest ubrany.
- Potwornie dziwnie. W starych skórzanych spodniach, we fraku o guzikach wielkości talerza, w trzewikach jak do tańca i w ogromnym kapeluszu.
- Hm, to raczej jakiś szczególny okaz, ale nie zbrodniarz. Jeżeli ktoś planuje jakikolwiek zamach, to ubiera się raczej tak, aby innym nie rzucać się w oczy.
- Ale jego broń!
- Co? Posiada broń?
- Tak. Strzelbę, dwa rewolwery, ogromny nóż i jakąś podobną do trąby maszynę, zapewne naładowaną dynamitem.
- Widział pan to?
- Ja nie, ale mój portier.
- Można mu wierzyć?
- Naturalnie.
- A skąd pan wie, że ten zamach wymierzony jest przeciw Bismarckowi?
- Przecież pytał o jego mieszkanie.
- Kogo?

- Pokojówkę.
 - Hm, to rzeczywiście podejrzone, ale nie do końca przekonywujące.
 - Powiedział, że nie będzie sobie robił zbędnych ceregieli.
 - Czy ta dziewczyna może na to przysiąc?
 - Może.
 - Powiedział może kiedy ma udać się do Bismarcka?
 - Nie.
 - Gdzie jest teraz?
 - W swoim pokoju, je śniadanie.
 - Dobrze. Mam nadzieję, że pan się myli, ale moim obowiązkiem jest zbadać tę sprawę. Zamelduję to przełożonemu i za jakieś pół godziny zjawię się u pana. Musi pan uważać, żeby do tego czasu nie wyszedł z hotelu.
 - W razie potrzeby mogę zatrzymać go siłą.
 - Tylko w szczególnym wypadku, pan sam będzie najlepiej wiedział, jak ma to zrobić, jakich użyć środków aby nie działać gwałtownie.
 - Dobrze, już ja to zrobię.
- Z tymi słowami oddalił się. Tymczasem Sępi Dziób zjadł z apetytem śniadaniem nie przeczuwając nawet jakie chmury zbierają się nad jego głową.
- Mam tu czekać na kapitana? – spytał sam siebie. – O nie! Sępi Dziób i bez protekcji potrafi trafić do Bismarcka. Naturalnie nie będę sobie już mógł stroić żartów, jak do tej pory, ale dostać się do niego muszę. Ciekawy jestem jakie oczy robi na widok takiego dziwaka, który koniecznie chce się dostać do niego na audiencję.
- Rzeczy schował w sypialni, drzwi zamykając na klucz.
- Nikt nie potrzebuje wiedzieć co mam w worku, już i tak ten głupi kelner widział za dużo. Może mają drugi komplet kluczy do pokoju, ale i na to jest rada.
- Wyjął śrubę służącą do zamykania zamków i wkręcił ją w dziurkę. Niezauważony przez nikogo zszedł na dół. Gospodarz był właśnie na policji, a służba zgromadziła się w kuchni, by omówić ostatnie wydarzenia. Gdy wyszedł na zewnątrz udał się we wskazanym kierunku. Człowiek mieszkający w wielkim mieście widzi tyle dziwaków przeróżnie ubranych, że raczej nie zwraca uwagi na kolejnego przebierańca. Kilku przechodniów zapytał o drogę i w końcu stanął przed rezydencją kanclerza.
- W bramie stał wartownik. Sępi Dziób podszedł do niego, poufale klepnął po ramieniu i zapytał:
- To rezydencja pana Bismarcka, nieprawdaż?
 - Tak – odparł służbowo wartownik, przyglądając się z uśmiechem przybyszowi.
 - Mieszka na pierwszym piętrze?
 - Tak.
 - A czy *mister* w domu?
 - *Mister*? Kto?
 - No, Bismarck.
 - Chce pan powiedzieć, jego ekscelencja, hrabia Bismarck.
 - Tak, hrabia, ekscelencja i co pan tam jeszcze chcesz.
 - Jest w domu.
 - Ha, to dobrze trafiłem.
- Chciał przejść obok strażnika, ale ten złapał go za rękę i spytał:
- Stój! Dokąd pan idzie?
 - No, do niego.
 - Do jego ekscelencji?
 - Naturalnie.
 - To niemożliwe.

- Tak, a to dlaczego?
 - Czy jest pan umówiony?
 - Nie.
 - A w jakiej sprawie pan przybywa?
 - To mogę powiedzieć tylko jemu.
 - W takim razie musi pan najpierw złożyć podanie o audiencję.
 - Podanie o audiencję? Ani mi to w głowie.
 - Ha, no to nic panu nie poradzę.
 - Bardzo dobrze, ja i tak nie mogę tracić więcej czasu. Do widzenia!
- Zamiast odejść poszedł w stronę schodów.
- Stój! – zawołał stróż. – Powiedziałem przecież, że nie wolno wchodzić do środka!
 - Nie wolno? Przekonam pana, że wolno.
- Usunął go na bok i pospieszył naprzód.
- Proszę się natychmiast stąd oddalić! – wołał rozszłoszczony wartownik. – Inaczej będę zmuszony użyć prawa.
 - A ja moich pięści.
- Właśnie kiedy się tak kłócili i szamotali zjawił się na schodach jakiś starszy pan w mundurze, z czapką na siwej głowie. Był imponującej postaci i łagodnym wzrokiem. Trzymał się prosto, jak na żołnierza przystało.
- Wartownik, gdy go zobaczył natychmiast puścił Sępiego Dzioba i stanął na baczność. Traper tego nie zauważył, chcąc skorzystać z wolności pobiegł na schody i tam zrównał się ze schodzącym. Niewiele namyślając się uchylił kapelusza i rzekł:
- *Good morning*, starszemu panu. Może pan potrafi mi wskazać pokój, w którym mógłbym spotkać jego ekscelencję, ministra Bismarcka?
- Schodzący spojrział ze zdziwieniem i spytał ze śmiechem:
- Pan chce mówić z Bismarckiem?
 - Tak.
 - A kim pan jesteś?
 - To mogę powiedzieć tylko jego ekscelencji.
 - Tak? A czy jest pan umówiony?
 - Nie, *my old mister*.
 - W takim razie będzie pan musiał odejść z niczym.
 - To niemożliwe, bo to bardzo ważna sprawa.
 - Tak? Prywatna?
- Widocznie ów szpakowaty jegomość zrobił na Sępie Dziobie pozytywne wrażenie, bo odrzekł po chwili:
- Właściwie nie powinienem panu tego mówić, ale ponieważ widzę, że nie jest pan byle kim i nie pyta pan z czystej ciekawości, więc powiem panu, że to nie jest sprawa prywatna.
 - A jaka?
 - Więcej nie mogę powiedzieć.
 - To taka straszna tajemnica?
 - Tak.
 - Nie ma pan nikogo, kto by pana u ekscelencji zameldował lub wprowadził?
 - O mam, ale dotychczas nie przyjechał, więc nie chciałem na niego czekać.
 - A kto to taki?
 - Kapitan huzarów gwardii królewskiej.
 - Jego nazwisko?
 - Robert Helmer.
- Przez twarz starszego jegomościa przeleciał dziwny uśmiech.
- Znam go – odrzekł. – On ma przyjechać do Berlina i wprowadzić pana do Bismarcka?

- Tak.
- Ale on jest w podróży?
- Miał pojechać, ale spotkał mnie w Kreuznach i dowiedział się ode mnie o paru ważnych sprawach, dlatego chciał, bym to wszystko zakomunikował jego ekscelencji.
- Tak? W takim razie ja sam wprowadzę pana do ministra, proszę mi tylko powiedzieć, kim pan jest?
- Dobrze, ale nie tutaj, bo usłyszy mnie ten gamoń wartownik.
- Proszę za mną.
- Wprowadził go do pokoju, w którym siedział lokaj. Na widok wchodzących chciał oddać głęboki ukłon, jednak jegomość skinął nieznacznie ręką.
- No, to jesteśmy sami – powiedział gdy lokaj się oddalił. – Teraz może pan wreszcie mówić.
- Jestem myśliwym i kapitanem dragonów Stanów Zjednoczonych, mój przyjacielu.
- Tak? A czy pan ma na sobie przypadkiem strój amerykańskich dragonów?
- O nie. Jeżeli pan, to co mam na sobie uważa za mundur, to musisz mieć słabe pojęcie o mundurach. Ale nic nie szkodzi, przyjacielu. Ja specjalnie ubrałem się w te fatalaszki, żebym, no żebym mógł cieszyć się z miny gapiów, którzy oglądali mnie z rozdziawioną gębą.
- To dość dziwny rodzaj sportu. Ale proszę mi powiedzieć, co to za tajemnica, proszę się nie obawiać zdrady z mojej strony, bo jestem bliskim powiernikiem ministra.
- Tak? Hm, niech już tak będzie. Ja przybywam z Meksyku.
- Twarz starszego pana natychmiast spoważniała.
- Z Meksyku? Był tam myśliwym, czy może żołnierzem?
- Przede wszystkim byłem przewodnikiem jednego Anglika, który miał dostarczyć pieniądze i broń do Juareza.
- Lorda Lindsaya?
- Tak, zna go pan?
- Znakomicie. Podróżował pan z nim?
- Tak. Płynęliśmy w górę Rio Grande del Norte aż do miejsca spotkania z Juarezem.
- To znaczy, że pan widział także Juareza?
- Naturalnie. Codziennie. Aż do mego wyjazdu do Prus, cały czas przebywałem przy jego boku.
- Twarz mężczyzny zdradzała coraz większe zainteresowanie.
- A po co pan przybył do Prus?
- Stosunki rodzinne domu Rodrigandów, Sternaua, Helmera itd. wymagały tego, ale to pana nie będzie interesowało, zresztą, mogę panu pokazać moje papiery.
- Wyciągnął cały stos i podał. Starszy pan przeglądnął je szybko i powiedział:
- Rzeczywiście muszę pana szybko przedstawić jego ekscelencji, chociażby jako okaz niezwykle Amerykanina, bo...
- W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Bismarck.
- Jego królewska mość jeszcze tutaj? – spytał zwracając się z głębokim ukłonem do starszego jegomościa.
- Co? Jego królewska mość? – zawołał pospiesznie Sępi Dziób. – Do pioruna!
- Bismarck spojrzał na nieznanego wręcz z przerażeniem. Starszy jegomość skinął jednak ręką, mówiąc do traperów:
- Proszę się nie denerwować.
- Ani mi to w głowie – odparł Sępi Dziób – ale jeżeli ten *mister nazywa* pana jego królewską mością, to pan chyba jest...
- No, kim?
- Królem Prus.
- Tak, w rzeczy samej.

– Ale ze mnie osioł. Ale ktoby pomyślał, no to ładnie się spisałem; Sępi Dziobie, co sobie o tobie król pomyśli?

– Sępi Dziób? A któż to taki? – spytał król.

– Ja. Na prerii każdy ma swój przydomek. Mnie ochrzcili Sępi Dziobem, dzięki memu ogromnemu nosalowi. Ale jego królewska mość, kim jest ten pan?

– Nie zna go pan?

– Nie mam przyjemności.

– A z portretu?

– Portretu? Ja się obrazkami nie zajmuję.

– To ten człowiek, do którego chciał się pan dostać.

Sępi Dziób zrobił krok do tyłu i zawołał:

– Co? To Bismarck? Naprawdę?

– Tak.

– No, inaczej go sobie wyobrażałem.

– To znaczy jak?

– Cienkiego, chudego, prawdziwego mistrza pióra, a tu postawa godna, wysoka. No, ale to nie szkodzi, nawet korzystniej wygląda. A teraz proszę jego królewską mość, aby powiedział ministrowi, kim ja jestem.

Król z uśmiechem podał dokumenty myśliwego Bismarckowi. Ten przeleciał je wzrokiem, po czym spojrzawszy na twarz Sępiego Dzioba skinął ręką i rzekł:

– Proszę za mną, panie kapitanie.

Zrobił miejsce królowi, po czym wszedł razem z traperem do swego gabinetu.

Lokaj, który powrócił na swoje miejsce słyszał jakąś ożywioną rozmowę. Treść jej jednak pozostała tajemnicą

* * *

Kiedy gospodarz i właściciel hotelu magdeburgskiego powrócił z komisariatu natychmiast zapytał o gościa.

– Ciągłe jest u siebie? – spytał kelnera

– Tak.

– Je śniadanie?

– Z pewnością.

– Nie może opuścić hotelu, dopóki nie przybędzie policja.

– W takim razie będę go pilnował na korytarzu.

– Tym zajmę się sam. W tak ważnych sprawach wolę polegać tylko na sobie.

Za jakiś kwadrans przybyła policja. Na ulicy, domu pilnowali detektywi. Dwóch z nich, najbardziej wprawnych w pracach śledczych udało się na górę, by uwięzić przybysza.

– Jest w pokoju? – spytali gospodarza.

– Musi być, bo nikt nie widział, żeby go opuszczał – odparł.

– Gdzie mieszka?

– W pokoju numer jeden.

– Dzwonił może na służbę?

– Nie.

– Hm, to obsłużymy go bez dzwonienia. Już chciał podejść do drzwi, gdy nagle coś sobie przypomniał i zapytał gospodarza:

– Ten człowiek podobno rozmawiał z pana pokojówką?

– Tak.

– Gdzie ona jest?

– W kuchni.

– Proszę ją zawołać.
– Po co?
– Wejdzie do niego pod jakimkolwiek pretekstem; w ten sposób dowiemy się co on porabia.

Pokojówka zjawiała się szybko i zapukała do drzwi. Ponieważ nie otrzymała żadnej odpowiedzi weszła do środka. Upłynęło sporo czasu zanim wyszła z powrotem.

– Co on robi? – spytał policjant.
– Nie wiem – odparła z zafrasowaną miną.
– Przecież go widziałas?
– Nie. Nie było go w pokoju, ani w salonie.
– A w sypialni?
– Sypialnia jest zamknięta.
– Może śpi, pukałaś?
– Pukałam, ale nikt nie odpowiadał.
– Może twardo śpi?
– To niemożliwe, bo waliłam w drzwi pięściami.
– Gdzie ma swoje rzeczy? – prawdopodobnie w sypialni.
– Więc nie chce otworzyć?
– Nie.
– No to spróbujemy sami. Władzy się nie oprze.

Razem z innymi wszedł do środka i podszedł do zamkniętych drzwi sypialni. Zapukał i zawołał:

– Panie kapitanie!
Odpowiedziała mu cisza.
– Proszę otworzyć!
Znowu ani słowa odpowiedzi.
– W imieniu prawa! Nadal cisza.
– Ha, będziemy musieli sami otworzyć.
Zwracając się do jednego ze swoich podwładnych rzekł:
– Proszę mi podać wytrych.
Zaczął próbować.
– Do diabła! Dziurka jest zatkana!
– Może klucz jest z drugiej strony?
– Nie, musiał coś wpakować do środka i to od tej strony.
– W takim razie nie ma go w środku.
– Prawdopodobnie.

Jeden po drugim zaczęli próbować otwarcia i przekonali się, że rzeczywiście jakaś stalowa śruba tkwiła w dziurce od klucza.

– Tam nikogo nie ma – zawołał jeden z policjantów.
– Musiał uciec – powiedział następny.
– Zapewne udał się do kanclerza Bismarcka. Na Boga! To tragedia! Panowie, proszę za mną – zawołał rozgorączkowany urzędnik. – Tymczasem reszta ma pilnować domu.

Wybiegł z domu i wsiadłszy do dorożki kazał się zawieźć czym prędzej do ministra.

W tej samej niemal chwili inna dorożka zatrzymała się tuż przy hotelu, wysiadł z niej nasz znajomy, Robert Helmer. Wszedł do restauracji i kazał sobie podać szklankę piwa. Na jego widok kelnerka zawołała przerażona:

– Pan kapitan naprawdę przybył. Czyli, że ten człowiek nie kłamał?
– Kłamał?
– Że pan miał przyjechać.
– A panna skąd o tym wie?

- Jeden obcy, którego właśnie miano aresztować powiedział mi.
- Aresztować? Kogo?
- Tego, który przygotowywał zamach.
- Zamach? Na kogo?
- Na Bismarcka.
- A co to za łotr?
- Pewien amerykański kapitan.
- Jak się nazywa.
- William Saunders.
- Nie znam.

Traper w Kreuznach przedstawił się jako Sępi Dziób, więc Robert rzeczywiście nie wiedział o kim mowa.

- Ale on powiedział, że pana zna – zawołała dziewczyna.
- To musiał skłamać. Jak on wygląda?

Dokładnie opisała mu Sępiego Dzioba.

- Nie znam – powiedział ponownie.
- Powiedział mi wyraźnie, że się na dzisiaj tutaj z panem umówił.

Wiadomość ta zastanowiła go, więc spytał:

- Czy ten nieznajomy miał jakiś znak, po którym mógłbym go rozpoznać?
- O miał.
- Jaki?
- Ogromny nos.

Robert zbladł.

- Czy to możliwe? Mówił z obcym akcentem?
- Tak.

– I policja naprawdę chciała go aresztować?

– Tak właściciel hotelu poinformował policję. Ów nieznajomy ma pełno broni przy sobie, strzelbę, rewolwery i jakąś maszynę podobną do trąby. Chce zamordować Bismarcka.

- Czysty nonsens. Bzdura!
- To nie bzdura, to szczerą prawdą panie kapitanie.
- Udał się do kanclerza?
- Niezawodnie.
- A policja za nim?
- Tak jest.
- W takim razie nie mam czasu do stracenia, muszę tam biec.

Wybiegł z hotelu biorąc pierwszą lepszą dorożkę i kazał się wieść do ministerstwa.

Tymczasem Sępi Dziób skończył swoją konferencję z wysokimi osobistościami, więc poszedł na spacer bez specjalnego celu, pogwizdując z radości. Miał tak wyrobiony zmysł spostrzegawczy, że mimo tego iż nie znał miasta nie pomylił drogi i trafił z powrotem do hotelu. Już miał wejść do środka, gdy jakiś mężczyzna zastąpił mu drogę i kłaniając się spytał:

– Przepraszam, ale myśmy się już gdzieś widzieli. Sępi Dziób myślał właśnie o niespodziance, jaką zrobił kapitanowi, iż samemu udało mu się wejść do hrabiego Bismarcka, więc niezadowolony z przeszkody odparł gniewnie:

- Ciekawy jestem gdzie?
- Na drugiej półkuli.
- Gdzie?
- W Stanach Zjednoczonych.
- Co one mnie obchodzą.
- Ale pan jest przecież w Stanach kapitanem kawalerii.

- A to pana nic nie powinno obchodzić.
- Czy nie mieszka pan przypadkiem w hotelu magdeburskim?
- Pchtschchft!* – posłał mu całą porcję tytoniu tuż obok nosa.
- Do diabła! Uważaj pan! – zawołał rozzłoszczony tajniak.
- Jak to panu nie na rękę to proszę się oddalić. Ja nie zaczepiłem pierwszy – odparł zimno Sępi Dziób i nie oglądając się za siebie poszedł wprost do restauracji hotelowej.
- Kilku tajniaków weszło tuż za nim. Nie przeczuwał nic złego, gdyż przypuszczał, że to tak jak i on goście hotelowi. Dopiero, gdy ten, który zaczepił go na ulicy podszedł do jego stołu i zapytał, czy może z nim dalej porozmawiać zniecierpliwiony zawołał:
- Wynoś się pan czym prędzej, niech pana diabeł porwie!
- Ani myślę się stąd wynosić, – odparł policjant – a kogo ma diabeł porwać to się niedługo okaże.
- Myśliwy spojrział na niego zdziwionym wzrokiem.
- Hola chłopcze, czy ty naprawdę szukasz ze mną zwady?
- Prawdopodobnie – zaśmiał się spytany z drwiącą miną.
- No to podejdź tu bliżej, to zaraz ci dam poznać, na kogo trafiłeś.
- Nie zlekneń się pogróżek. Zna pan ten znak? – mówiąc to wyjął z kieszeni metalowy krążek i pokazał Sępiemu Dziobowi.
- Co? Pieniędźmi się chcesz przechwalać? Jeżeli jeszcze raz podsuniesz mi tę monetę tak blisko nosa, to zaręczam, że nie ujdzie ci to na sucho!
- A, to pan nie zna tego medalu?
- Nic mnie on nie obchodzi.
- Przeciwnie, bardzo wiele pana obchodzi. Ten medal to moja legitymacja. Zrozumiał pan?
- Jest mi to obojętne, ja zwykłem legitymować się policzkiem, jeżeli mi się ktoś zanadto naprzykrza.
- Pan mnie naprawdę nie chce zrozumieć. Ja jestem urzędnikiem tutejszej policji.
- Dopiero teraz Sępi Dziób rozglądnął się dookoła i zauważył, że całe jego otoczenie składa się z samych policjantów.
- Tak, to bardzo pięknie, że pan jest policjantem – odparł. – Ale nie wiem dlaczego właśnie mnie się pan przedstawiasz?
- Bo mnie bardzo interesuje pańska osoba. Żądam, aby na moje pytania odpowiadał pan otwarcie i szczerze.
- Sępi Dziób po raz wtóry rozglądnął się wkoło i powiedział:
- Wy, Prusacy jesteście ogromnie dziwnym narodem.
- Tak? A to dlaczego?
- Bo nikt, tak jak wy nie kocha aresztować innych ludzi.
- Tak? Przekonał się pan już o tym?
- Naturalnie. Od wczoraj już trzeci raz mnie aresztujecie.
- Wczoraj więc aresztowano pana i to już dwa razy?
- Tak.
- I udało się panu wyjść z tego?
- Tak i to z całą skórą.
- Ale dzisiaj się to nie uda.
- Spodziewam się, że wprost przeciwnie.
- Już ja się o to postaram, aby było inaczej. Może będzie pan tak łaskaw i poda mi swoje ręce.
- Mówiąc to wyjął z kieszeni stalowe kajdanki. To oburzyło Amerykanina i wstając zawołał:
- Co? Chcecie mnie skuć?
- Jak pan widzi.

– Do stu piorunów! Chciałbym zobaczyć tego, który odważy się podnieść na mnie rękę – zawołał już rozzłoszczony. – Co wam takiego zrobiłem łotry, że otaczacie mnie ze wszystkich stron jak odyńca w lesie!?

Pozostali także zbliżyli się do Amerykanina, otaczając go ze wszystkich stron. Właściciel wraz ze służbą przypatrywali się całej procedurze.

– Co pan nam zrobił? – spytał ironicznie policjant. – Nam nic. A co do reszty, to pan sam wie najlepiej.

– Jaką resztą? Ja o niczym nie wiem!

– Tak? To my panu udowodnimy. Pan nazywa się William Saunders?

– Od urodzenia.

– I jest pan kapitanem kawalerii Stanów Zjednoczonych?

– Tak.

– Ma pan ze sobą strzelbę?

– Tak.

– I dwa rewolwery?

– Tak.

– A nóż?

– Także.

– A jaką jeszcze broń?

– Żadnej.

– Będzie się pan wypierał? A gdzie pan był teraz?

– Na spacerze?

– Gdzie?

– Nie wiem jak się te ulice nazywają.

– Może pan oglądał apartament pana ministra Bismarcka?

– Możliwe.

– Aha, tu cię mamy ptaszku. Dawaj ręce.

– Po co, ja nie myślę uciekać.

– Wszystko jedno, takich niebezpiecznych typków przede wszystkim należy uwięzić.

Sępi Dziób wiedział, że wszelki opór jest daremny, więc dobrowolnie podał mu swoje ręce, mówiąc:

– Składam protest na takie traktowanie. Odpowie mi pan za to! Musiał pójść na górę do swego apartamentu i otworzyć sypialnię. Policjanci szukali przede wszystkim pisemnego pozwolenia na broń.

– W mojej kamizelce jest paszport – powiedział.

– Proszę mi go podać.

– A niby jak, skoro jestem skuty.

Policjant kazał wyjąć dokumenty jednemu ze swoich podwładnych, a przeczytawszy rzekł:

– Paszport jest wprawdzie ważny, ale co to za maszyna? – tu wskazał na trąbę.

– Do dmuchania – brzmiała zwięzła odpowiedź.

– Napelniona?

– Powietrzem.

– Czyli, że to zwyczajna trąba?

– Jak najbardziej.

– Hm, a co z Bismarckiem?

– Już u niego byłem.

– Co? Proszę nie kłamać. Myśli pan, że upadłem na głowę, żeby w to uwierzyć. Tak dziwnie ubranego człowieka mieli może wpuścić na audiencję do ministra?

– To się pan przekonaj, jak mi nie wierzysz. Nawet sama jego królewska mość wpuściła mnie do środka. A co do upadania na głowę, to nie wiem, czy nie miało to miejsca, bo człowiek, który zwyczajną trąbę uważa za jakąś ważną maszynę...

– Milczeć! – krzyknął urzędnik. – Wariatem jest ten, który twierdzi, że go sam król na audiencję do ministra wprowadził. Nagle jakiś głos zabrzmiał przy wejściu:

– Ten pan nie jest wariatem. To co mówi jest prawdą. Wszyscy obrócili się do drzwi, w których stał Robert Helmer, a za nim komisarz policji, mający za zadanie ochronienie ministra przed niebezpieczeństwem. Wszedł do środka i rozkazał:

– Natychmiast zdjęć temu panu kajdanki!

Rozkaz wykonano w oka mgnieniu, komisarz zwrócił się do Sępiego Dzioba mówiąc:

– Proszę pana, zupełnie niezasłużenie spotkała pana krzywda. Mam rozkaz publicznie przeprosić pana za te nieprzyjemności. Stało się to tylko na podstawie podejrzeń właściciela hotelu. Jeżeli pan chce, może go pan zaskarżyć. Naturalnie jestem gotów wziąć sprawę w swoje ręce i ukarać winnych.

Sępi Dziób popatrzył wokoło z drwiącym uśmiechem i odpowiedział:

– Mam tylko jedno życzenie, chcę temu panu, który uważał moją trąbę za jakąś diabelską maszynę, podarować ją na wyłączną własność. Na koniec chciałbym wreszcie zostać sam.

Wszyscy oddalili się ze śmiechem. Zawstydzony agent wyszedł z ogromną trąbą, tylko Robert pozostał w pokoju myśliwego. Gdy opanował swój śmiech powiedział:

– Kochany panie, co za maskaradowy strój pan na siebie założył?

– Takie mam hobby – odrzekł Sępi Dziób ze śmiechem.

– Po drodze też pan wyprawiał same głupstwa.

– Kto to panu powiedział?

– Słyszałam. Na jednej stacji nawet pana podobno aresztowano?

– Tak.

– Musiał pan przerwać podróż i wysiąść.

– Za to dalej pojechałem specjalnym pociągiem.

– Tak. Najlepszy z tego jednak jest pański rewanż.

– Co pan ma na myśli?

– No to, że kazał pan zamknąć tego pułkownika i porucznika.

– O tym też pan już wie?

– Wszyscy o tym opowiadali. Po opisie poznałem pana. Ci dwaj aresztowani byli moimi osobistymi wrogami. Zemsta moja była wielka, gdy wysiadłem i kazałem ich uwolnić. Naturalnie natychmiast chcieli mnie wyzwąć na pojedynek, ja jednak z miną triumfatora powiedziałem, że nie zwykłem się pojedynkować z ludźmi, którzy pozwalają się policzkować jakiemuś wędrownemu muzykantowi.

– Co teraz robimy? – spytał Amerykanin.

– Jeszcze dzisiaj wyruszamy.

– Co? Dokąd?

– Do Havre de Grace.

– Do Meksyku?

– Naturalnie. Dostałem pilne rozkazy.

– A co ja dostałem? – spytał Sępi Dziób ze śmiechem.

– I dla pana znajdzie się moc roboty – odparł Robert. – Teraz jak najprędzej w drogę. Całą sprawę omówimy w pociągu.

PRZYGOTOWANIE DO WYPRAWY

Wreszcie po tak długim czasie Czytelnik przybywa znowu do tych samych miejsc, w których rozegrały się pierwsze dramaty naszej powieści, to jest do Hiszpanii, do Rodrigandy.

W lesie, w pobliżu zamku, koczowała cała banda Cyganów. Najstarsza z nich spoczywała w szałasie sporządzonym naprędce z gałęzi, a zimno mocno jej doskwierało.

Była to Zarba, królowa Gitanów, owa niegdyś ubóstwiana piękność, Róża Zigarita, ta sama, którą uwiódł, a następnie porzucił Kortejo.

Nadszedł wieczór. W obozie panowała niezwykła cisza, widocznie królowa musiała usnąć, więc nikt nie warzył się zakłócać jej spoczynku.

Wśród tej ciszy głośno zabrzmiał tętent końskich kopyt. Wkrótce na małym koniu bez siodła, ukazał się jeździec. Wszyscy poderwali się z miejsc, widocznie poznali przybysza.

– Jarko! – zabrzmiał ogólny okrzyk, który obudził królową.

Z szałasów wyszła dziwna postać. Ta niegdyś tak zniewalająca piękność zniknęła z tego oblicza na zawsze. Na twarzy ułożyła się zmarszczka na zmarszczce, nos wydłużył i zakrzywił, zęby powypadały tworząc zapadłe miejsca po obu stronach policzków. Ale oczy nie poszarzały, nadal lśniły jasnym blaskiem i biada temu, na kogo rzuciły nienawistne spojrzenie.

– Jarko! – zawołała.

Jeździec zsiadł z konia i podszedł bliżej do szałasów.

– Chodź mój synu i usiądź obok mnie – rzekła donośnym głosem. – Długo się nie widzieliśmy. Nareszcie przybywasz. Chcę się wszystkiego dowiedzieć. Ale może jesteś zanadto zmęczony lub głodny?

Cygan potrząsnął głową, i odpowiedział:

– Znużony? Głodny? To nie przystoi prawdziwemu Gitanowi. Pytaj matko o co tylko chcesz.

– Byłeś w Prusach?

– Byłem.

– A w Moguncji?

– Też.

– W tej miejscowości, do której cię posłałam?

– W Kreuznach? Tak, byłem.

– Czy Tombi jeszcze żyje?

– Żyje i jest zdrow.

– Widziałeś może tego starego człowieka, któremu w głowie zaległa ciemność?

– Widziałem. Ciągłe mówi o sobie, że jest starym poczciwym Alimpo. Powiadają, że to hrabia Emanuel Rodriganda.

– To akurat nic cię nie obchodzi. Jakie osoby spotkałeś tam jeszcze?

– Księcia Olsunnę.

– Znam go.

– I jego żonę, księżnę.

– Ona była moją przyjaciółką.

– Różę Sternau, córkę Rodrigandy.
 – Tak. To wielkie nieszczęście, że jej mąż zmarł.
 – Spotkałem też jej córkę, Różę, którą wszyscy nazywają Leśną Różyczką.
 – Widziałam ją jako małe dziecko i pobłogosławiłam. Nadal jest piękna?
 – Piękniejsza od porannej jutrzynki.
 – A dobra?
 – Jej serce jest przepelnione dobrocią.
 – To dobrze. A kogo jeszcze widziałeś?
 – Pewnego oficera, na którego wołają Robert. Wprawdzie jest jeszcze młody, ale przed nim wielka kariera.
 – To syn sternika. Wyczytałam w gwiazdach, że los jego będzie wspaniały.
 – Potem widziałem starego kapitana Rodensteina.
 – To kamień bez polityry i połysku, na skutek starości robi się coraz bardziej szorstki.
 – Jego syna malarza i jego żonę, córkę księcia.
 – To dwa serca kochające się silnie i niezmiennie.
 – Na koniec od twego syna Tombiego dostałem list, który mam ci oddać.
 – List. Pokaż! Tombi nie umie dobrze pisać, ale jego matka i bracia rozumieją go. Potrafię jeszcze przeczytać słowa mego syna, tak jak i mego największego wroga.
 Podał jej papier zabazgrany straszonymi kulfonami, a owinięty jakimś kawałkiem płótna. Pomimo trudności z odczytaniem poszczególnych liter zrozumiała treść.

„*Matko!*

List do pani Sternau. Żyje jeszcze. I sternik, hrabia Ferdynand. I inni. Są w Meksyku. Ferdynand przez Pablo Korteja otruty, w letargu. Na okręt. Jako niewolnik. Landola zrobił. Inni także na okręt Landoli. Połapani. Miał ich zabić. Wyrzucił na odludną wyspę. Szesnaście lat. Uratowani. Niedługo przyjadą. Wielka uciecha w Kreuznach. Zemsta niedługo, wielka.
Syn Tombi”.

List ten miał datę sprzed przybycia do Moguncji Sępiego Dzioba, a więc w czasie, gdy Tombi nie wiedział, że uratowani ponownie zaginęli.

Zarba siedziała jakiś czas w milczeniu, wreszcie wstała, mały sztylet schowała za pazuchę i bez słowa oddaliła się.

Udała się wprost do zanku Rodriganda. Przy bramie zatrzymał ją krzyczący stróż:

– Czego tu chcesz, czarownico?!

Milcząc chciała przejść obok. Jednak złapał ją za rękaw wołając jeszcze głośniej:

– Ogłuchłaś? Pytam się czarownico czego tutaj szukasz?! Popatrzyła na niego spokojnie i odparła:

– Czy nie wiesz, że ja mam zawsze wolny wstęp do zamku?

– Wiem, ale powiedz mi do kogo idziesz?

– Jest Hrabia Alfonso?

– Nie.

– A senior Kortejo?

– Jest.

– Siostra Klarysa?

– Jest.

– Gdzie są?

– W pokoju Korteja.

Dobrze знаła drogę, więc po chwili zapukała do drzwi i nie czekając na zaproszenie weszła do środka.

Kortejo siedział razem z Klarysą na sofie, spożywali sytą kolację. Na widok wchodzącej stracili swe dobre miny.

– Czego tu chcesz? – spytał Kortejo groźnie.

– Przychodzę cię ostrzec.

Spojrzał na nią zdziwiony, ale zarazem przerażony. Ta Cyganka posiadała władzę, której nawet on nie dorównywał. Wiedziała wiele o jego życiu, a teraz nawet więcej niż on. Już nie raz miał zamiar zgładzić to niepotrzebne, naprzykrzające się stworzenie, ale zawsze przed tym krokiem powstrzymywała go jakaś dziwna trwoga.

– Do kogo właściwie przychodzisz? – spytała Klarysa dumnym tonem.

– Nie do ciebie! – brzmiała odpowiedź Cyganki.

Klarysa zaczerwieniona ze złości aż poderwała się z kanapy i krzyknęła:

– Co?! Ty czarownico, ośmielasz się mówić do mnie przez ty!

– A czym ty się różnisz ode mnie? – spytała Cyganka. Klarysa nie odpowiadając zwróciła się do Korteja:

– Wyrzuć tę włóczęgę! Natychmiast!

Kortejo nie ośmielił się jej sprzeciwić więc rzekł do Zarby:

– Wynoś się stąd! Idź do swego obozu!

– Zarba zostanie, gdzie się jej podoba. – odpowiedziała dumnie. – Ta kobieta nie ma prawa rozkazywać mi. Ona tak jak i ja była twoją kochanką, i podobnie jak ja urodziła ci syna; tylko że jej syn został hrabią, a mój samotnym Cyganem.

Oboje przerażili się słysząc te słowa. Pierwszy oprzytomniał Kortejo.

– Zarba, na miłość boską! Fantazjujesz!

Klarysa podsunęła sobie pod nos flakonik i wołała:

– Ta baba naprawdę zwariowała!

– Nie zaprzeczaj! – odrzekła Cyganka z błyszczącymi oczami i siłą w głosie. – I na was przyjdzie chwila, gdy będziecie pragnąć szaleństwa, całkowitego zapomnienia przeszłości. Jeszcze będzie wyc i żebrać o litość, ale tylko piekło ulituje się nad wami.

Kortejo nie wiedział co to ma znaczyć. Zarba, jego dawna kochanka i pomocnica, teraz w tak okrutny sposób występowała przeciw niemu. Jak nieprzytomny patrzył na nią i spytał:

– Czego ty właściwie chcesz ode mnie?

– Żądam dla mego syna tytułu hrabiowskiego.

– Nie pleć głupstw!

– Czego? Głupstw? Wiesz, że mówię prawdę, ale nie przeczuwasz, że Zarba jest potężniejsza i silniejsza od ciebie.

– Mylisz się – odparł. – Wystarczy, że tylko powiem słowo, a wyrzucą cię za drzwi.

– Ty? – spytała ze śmiechem. – Powiedz tylko to słowo, a tym samym sam zgotujesz sobie zgubę.

– Chcesz mi grozić? Przecież jesteś współwinną wszystkich moich zbrodni.

– Może nie wszystkich – odparła chytrze. – Czy może to ja, na twój rozkaz zabiłam hrabiego?

– Naturalnie, przecież znaleźli w jarze jego ciało.

– Doktor Sternau mówił prawdę, to ciało nie było jego.

– Ten szarlatan! To był trup hrabiego!

– Mylisz się ogromnie. To było ciało dopiero co zmarłego człowieka z sąsiedniej wioski, które ubraliśmy tylko w szaty hrabiego. Zaś jego samego ukryliśmy tak, że nikt go nie mógł odnaleźć.

Oboje pobledli. Klarysa oparła się o poduszki, Kortejo jak rażony piorunem podskoczył i krzyczał z całych sił:

– Babo! Szatanie! Kłamiesz haniebnie!

– Jeżeli nie chcesz to nie wierz – odparła spokojnie. – Ale twa niewiara nic nie zmieni, hrabia Emanuel żyje.

– Gdzie?

– Tam gdzie go nigdy nie odnajdziesz. Doktor Sternau także żyje!

Popatrzył na nią i odparł z ironią:

– O nie, zginął. Wiem to z całą pewnością!

– Tak myślisz! – spytała z nieskrywaną satysfakcją. – Zapewne hrabia Ferdynand także zginął?

– Naturalnie.

– I Mariano, prawdziwy dziedzic rodu Rodriganda?

– Tego nie znam. Wszyscy zginęli. Zatonęli na morzu w czasie burzy.

Podeszła krok bliżej mówiąc półgłosem:

– Gasparino Kortejo, mylisz się ogromnie. Landola tak jak i ja, nie wypełnił dokładnie wszystkich twoich poleceń.

– Zupełnie cię nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz. Landola nigdy ci nie wierzył. Chciał mieć przeciw tobie w ręku pewną broń i dlatego nie zabił tych, których kazałeś. Wysadził ich na bezludnej wyspie. Szesnaście lat tam przesiedzieli i niedawno udało im się powrócić.

Kortejo zgłupiał. Gdyby nawet Zarba kłamała, to i tak znała wszystkie tajemnice, o których nikt nic nie powinien wiedzieć. Ale co będzie, jeżeli to wszystko jest prawdą? Przecież po tym łotrze Landoli można się wszystkiego spodziewać. Zrobiło mu się gorąco. Klarysa oddychała ciężko, wreszcie opanował swój niepokój i powiedział z drwiną:

– Wspaniale zmyślasz, stara. Byłabyś dobra jako niańka, piękne bajki opowiadałabyś dzieciom.

Zaśmiała się z pogardą i powiedziała:

– Po co te komedie? Doskonale wiem, że to cię przeraziło. Hrabia Ferdynand żyje. Podano mu tylko truciznę, na skutek której popadł w letarg. Pogrzebali go, wkrótce potem wyjęli go z trumny, doprowadzili do przytomności i sprzedali do niewoli. Landola go tam przetransportował. Jednak hrabia uratował się, uciekł z niewoli i odnalazł pozostałych. Teraz wszyscy, a więc: Sternau, Ferdynand i Mariano znajdują się w Meksyku.

– Udowodnij to!

– Nie musisz znać moich źródeł informacji, ale doskonale wiesz, że to prawda.

– A jeżeli nawet, to dlaczego mówisz to mnie, ty stara czarownico! – zawołał ze złością. – Czy chcesz bym miał czas na ratunek?

– Ratunek? – rzekła ze śmiechem. – Nie potrafisz się już uratować. Mówię ci to, gdyż największą przyjemność sprawi mi widok twego przerażenia, chcę byś długo cierpiał i długo się bał.

– Diable! – zawołał.

– Ja? A kim ty jesteś? – spytała Zarba.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

W tej właśnie chwili zapukano i po chwili w drzwiach stanął służący z paczką listów. Gdy tylko się oddalił Kortejo przeglądał korespondencję.

– Z Meksyku! – zawołał na widok z jednego z listów.

– Przeczytaj! – rzekła Zarba. – Może wtedy się przekonasz, czy cię okłamałam.

Chcąc nie chcąc rozerwał kopertę i zaczął czytać. Ciężkie westchnienie wydarło mu się z piersi. Gdy skończył musiał oprzeć się o sofę, aby nie stracić równowagi.

Klarysa nie mogła opanować swej ciekawości. Wyjęła mu pismo z rąk i przeczytała:

„Kochany stryju!

Obecnie przebywam w hacjendzie del Erina i piszę naprędce te kilka słów, gdyż są one bardzo ważne. Wydarzyły się rzeczy niesłychane, wręcz potworne. Landola nas oszukał. Ci wszyscy, którzy mieli zginąć, żyją. Wszyscy! Wysadził ich na bezludnej wyspie, skąd udało im się uciec. Przebywają teraz w forcie Guadalupe u boku naszego wroga, Juareza. Wystarczy, że wymienię ci Sternaua, Mariano, obu braci Helmerów. Hrabia Ferdynand jest także z nimi, żyje, wbrew zapewnieniom. Ojca tutaj nie ma, a ja jestem dość słaba. Posłałam do niego list, aby natychmiast podjął odpowiednie kroki. Jeżeli nie uda nam się ponownie pochwycić naszych wrogów, to bez wątpienia jesteśmy zgubieni.

Twoja zatroskana bratanica Józefa.”

Po przeczytaniu Klarysie wypadł list z rąk. Zarba powiedziała z satysfakcją:

– No i co, potwierdzają się moje nowiny, widzę to po waszych twarzach.

Kortejo rozzłoszczony krzyknął:

– Milcz ty stara czarownico, bo inaczej każę ci zakneblować gębę! Możesz bredzić co ci ślina na język przyniesie, ale nie to, że Alfonso nie jest prawdziwym hrabią! Nigdy tego nie zdołasz udowodnić.

– Tak myślisz? Znowu jesteś w błędzie. Bardzo łatwo da się udowodnić, że prawdziwym dziedzicem rodu, a więc prawdziwym Rodrigandą jest Mariano. Rozbójnicy nie zabili go po zamianie. A gdyby były jakieś wątpliwości to zapytaj swego syna, co w Paryżu ukradł mu jeden garoter.

– W Paryżu? Garoter? O czym ty mówisz, ja o niczym nie wiem?

– Powiem ci. Są tacy ludzie, którzy na skutek słabej pamięci lub może z innych przyczyn mają w zwyczaju zapisywać wszystko co się tylko wydarzyło. Nie myślą o tym, że ich notatki mogą się dostać w niepowołane ręce. Takim właśnie durniem jest twój syn. Notował wszystkie tajemnice i to bardzo szczegółowo. Ten notes w Paryżu ukradł mu pewien garoter, a ja poznałam jego treść.

– Na wszystko co święte, powiedz, kto ma ten notes?! – zawołał Kortejo zrywając się z kanapy i podchodząc do Cyganki.

– Tego nie musisz wiedzieć – powiedziała spokojnie.

– Tak? Musisz mi powiedzieć prawdę, inaczej cię stąd nie wypuszczę.

– Musisz poczekać, aż będę miała ochotę aby ci to wyjawić.

– Nie myślę czekać! Mów natychmiast!

Złapał ją za ramię, lecz w tej samej chwili z krzykiem odskoczył na bok. Zarba niepostrzeżenie wyjęła swój sztylecik i wbiła mu w rękę. Ze zręcznością kota pobiegła do drzwi i zniknęła. Zanim Kortejo się obejrzał, schowała się w parku.

– Przeklęta czarownica – powiedział oglądając swoją rękę.

– Głęboka rana, kochany? – spytała zatroskana Klarysa.

– Nie, na szczęście trafiła między kości, więc tylko mnie drasnęła, ale jej język był znacznie gorszy.

– Trzeba mój kochany rozpatrzeć punkt po punkcie, ale powiedz mi najpierw, czy to prawda z tym... z tym synem...

Kortejo nie od razu odpowiedział, a po chwili z wahaniem i lękiem rzekł:

– No cóż, to taka młodzieńcza miłośćka. Możliwe, że ma syna, ale kto jest jego ojcem?

– Ty!

– Co?

– I to było wtedy, kiedy się już znaliśmy.

– Możliwe. Ale po co teraz, po latach mówić o takich drobnostkach. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. W pierwszym rzędzie interesuje mnie Ferdynand, nie umarł, jak miało się stać. Nie otruli go, a kto zawinił?

– Twój brat Pablo. Ale nie potrafię zgadnąć dlaczego?

– Ja chyba wiem.

– W takim razie mam nadzieję, że podzielisz się ze mną tymi wiadomościami.

– On ma córkę, a ja syna. Mój syn został spadkobiercą całego majątku Rodrigandów. Chciał aby ci młodzi pobrali się i Józefa otrzymała część majątku. Ponieważ Alfonso nie chciał, dlatego postanowili trzymać nas w szachu unieszkodliwiając hrabiego, ale pozostawiając go wśród żywych.

– Jasne, trzeba się czymś takim samym zrewanżować.

– A co z pozostałymi zaginionymi?

– Żyją.

– Tę sprawę pozostawię tymczasem na głowie mojego brata. Ważniejsza jest dla mnie Zarba i Landola. Bez tej dwójki, nikt niczego nie jest mi w stanie udowodnić.

– Musisz się ich pozbyć i to na dobre.

– Najpierw Cyganekę.

– Kiedy?

– Jeszcze dzisiaj.

– A Landolę?

– Z tym muszę najpierw pogadać, może będzie mi jeszcze potrzebny, potem...

– Jest w Barcelonie?

– Tak. Musi się nawet ukrywać przed hiszpańską policją. Ten Bismarck ma długie ręce. Żeby nie zapomnieć, musimy o wszystkim powiadomić Alfonso. A teraz muszę działać.

– Idziesz do Zarby?

– Tak i do Landoli. Jeszcze dzisiejszej nocy pojadę do Barcelony. W takich sprawach pośpiech jest niezbędny.

Oddalił się, a godzinę później opuścił zamek boczną bramą. Kołując dotarł w końcu na miejsce, gdzie według niego powinien znajdować się obóz Cyganów. Ze strzelbą gotową do strzału przesuwał się z wolna od krzaka do krzaka. Znał cygańskie obyczaje i wiedział, że o tej porze Zarba zwykła siedzieć przed swoim namiotem paląc fajkę i rozmawiając ze swym ludem.

Jednym celnym strzałem mógł załatwić sprawę.

Kiedy podsunął się tuż pod sam wyłom i wyrzwał zza krzaków mimo woli wydał z siebie okrzyk zdziwienia. Miejsce gdzie powinien stać obóz było puste.

Dlaczego wyruszyli? Dlaczego stara nic mu o tym nie powiedziała? A może nie są jeszcze daleko? Może mógłby ich dogonić i zastrzelić starą? Przecież nie może wracać do zamku z niczym.

Postanowił pójść po ich śladach, lecz niedługo natrafił na nową przeszkodę.

– Stój! – usłyszał za sobą jakiś głos.

Kiedy się obejrzał zobaczył za sobą czterech młodych Cyganów.

– Czego chcesz? – spytał Kortejo.

– A, senior Kortejo, czego tu szukasz?

– Co cię to obchodzi?

– Nawet bardzo dużo. Czekaliśmy tu na was.

– Na mnie? Dlaczego? – spytał zdziwiony.

– Rozkazała nam to nasza matka.

– Tak? A skąd wiedziała, że ja tu przyjdę?

– Tego nie wiemy. Rozkazała wszystkim natychmiast wyruszać, a nam kazała pilnować, aby pan nie poszedł naszymi śladami.

- Dlaczego?
- Tego także nie wiemy.
- A gdy mimo tego pójdę?
- To będziemy strzelali.
- Co? Nie odważycie się!
- My musimy słuchać Zarby, nawet gdybyśmy mieli narazić swoje życie, dlatego pozwólcie senior, że odprowadzimy was do domu.
- Ja znam drogę.
- Tak, to prawda, ale chcemy się przekonać, że rzeczywiście tam wrócicie. Chodźcie, nie chce nam się z wami spierać.
- Co? Chcecie użyć siły, łajdaki?
- Oczywiście, jeżeli dobrowolnie z nami nie pójdziecie. Kortejo wściekał się ze złości, gdy prowadzili go do zamku, ale nic nie mógł na to poradzić. Gdy tylko dotarli na miejsce, Cyganie odeszli, a on poszedł prosto do Klarysy, by opowiedzieć co mu się przydarzyło.
- Na Boga, uciekła? – spytała ze strachem.
- Muszę ją złapać.
- Kiedy, może jutro?
- Nie. Jutro muszę udać się do Barcelony, to jest ważniejsze. Jeszcze dobrze nie zaczęło świtać, gdy Kortejo przybył do Barcelony. Przez boczne, wąskie uliczki dotarł do pewnego krawca, trudniącego się przeróbkami starej odzieży. U niego, w małym pokoiku, pod przybranym nazwiskiem, mieszkał Landola.
- Przynoszę wam nowe, dochodowe zlecenie – powiedział w drzwiach.
- Bardzo mi przyjemnie – odpowiedział kapitan. – Co to takiego?
- Podróż do Meksyku.
- Hm, jako pasażer, czy na własnym statku.
- Wszystko jedno. Chodzi o przewiezienie zwłok hrabiego Ferdynanda, do grobowca rodzinnego w Rodrigandzie. Możecie się tego podjąć?
- Niech was diabeł porwie – zaklął Landola zamiast odpowiedzi.
- Mnie? Dlaczego? Nie chcecie?
- Trup na pokładzie zawsze przynosi nieszczęście.
- To przesąd. Dziwi mnie, że wy w to wierzycie.
- To akurat jest mi obojętne. Dajcie spokój temu staremu i pozostawcie go tam, gdzie jest.
- A gdzie jest?
- Jak to gdzie, w Meksyku przecież.
- A może w niewoli?
- Landola wyraźnie się przestraszył. Popatrzył badawczo na Korteja i spytał:
- W niewoli, w jakiej niewoli?
- Nie rozumiecie? Normalnie, zabraliście go na swój okręt i wywieźliście gdzieś daleko, a potem został sprzedany w niewolę.
- Do diabła! To znaczy, że wasz braciszek nie potrafi trzymać języka za zębami, musiał wszystko wygadać, jak jakaś stara plotkarka.
- Uczyniliście to na rozkaz mojego brata?
- Naturalnie.
- Czyli, że on jest dla was ważniejszy niż ja.
- To nie tak, ale on był w Meksyku i musiałem się tam stosować do jego rozkazów.
- A co do innych poleceń, też się do nich zastosowaliście?
- Do jakich innych?
- Chociażby co do Sternaua i jego towarzyszy.
- Oni nie żyją.
- A może także są w niewoli.